

Budmerice

Do wsi szło się koślawo wyasfaltowaną topolową aleją. Na mapie miała około kilometra, choć po ziemi toczyła się o wiele dłużej, powoli jak niegdyś beczki z lokalnym winem niesione w darach przez wieśniaków z Budmeric do pałacyku Palffyich, gdzie dzisiaj mieści się Dom Pisarzy Słowackich. Bujałem po niej swoje leniwe litery, a z naprzeciwka wiejskie dziewczyny rozwoziły na rolnkach uśmiechy z podtekstem. Po lewej stronie, wzdłuż drogi rozciągały się ubogie zagródki, domki z drewnianymi przybudówkami, których najpoważniejszym zagrożeniem był codzienny południowo-zachodni wiatr. Istniały tylko dzięki jego łaskawości, skazane na jego kaprysy bez przekonania trzymały się pionu. Ciekawszy widok rozciągał się po prawej stronie – nie był przestonięty żadną kruchą fasadą, nieoferującą nic poza perspektywą spektakularnego upadku. Pejzaż po prawej napawał poczuciem stabilności, pełny dumnego dostojęństwa i akademickiej powagi wypinał przede mną pierś odległego horyzontu, raz lekko opartą o poranną lekkość błękitnej pustki, kiedy indziej z trudem dyszącą pod zwalistym cielskiem zsiniałych deszczem cumulusów, zawsze jednak odważnie wysuniętą w górę. Krajobraz po prawej – to było starcie dwóch żywiołów, które po prostu gwizdały na moją obecność. Dlatego też byłem idealnym obserwatorem tej ponadludzkiej konfrontacji. Z podziwem, ale i wrażeniem nieuniknionej zagłady obserwowałem wciśniętą między powietrze a ziemię sieć telegraficzną sparalizowaną w bluźnierczej pozie, ostupiałą własną beczelnością, za swoją bezwstydną zaklętą w próchniejące drewno. Obrazoburcza śmiałość tej ingerencji w przestrzeń została sprawiedliwie sponiewierana i wystawiona na pośmiewisko. Żaloszne paliki sterczące jak zepsute zęby wyszczerzone w katatonicznym podnieceniu idioty, gnijące kikuty śmiałka, który targnął się na płótno bezkresu. Słupy, wzięte w dwa ognie, z góry i od dołu, z czasem idealnie sprasuje kreska horyzontu. To upomnienie, chcąc nie chcąc, tchnęło we mnie stosowną estymę do Boskiego elementu przyrody.

Po cichu próbowałem zapalić papierosa, by nie gniewać tego, co zobaczyłem. Zapalki zawodziły. Zachowywały się zupełnie nienaturalnie na tle chwilowo wyciszonych warunków pogodowych. Widocznie niespodziewanie przypomniały sobie bosmańską przeszłość swoich przodków zatopionych w Bałtyku razem z pasażerami promu Estonia, bo zapalały się, nie tylko świszcząc, sycząc, jęcząc niczym wszystkie ofiary morza razem wzięte, lecz także łapczywie zachłystując się powietrzem jak ledwo ocaleni. Ich SOS oznaczało dla mnie ostateczne bicie w dzwony. Panicznie nimi potrzebowałem. Próbowałem przemówić do zapalczanego rozumu, wskrziesić płomienną naturę i tym samym zachować jeszcze cię nadziei. Szarpałem się z nimi, choć udawałem, że nic się nie dzieje, uśmiechałem się głupkowato jak złapany na gorącym uczynku złodziej samochodu, który uparcie twierdzi, że chciał się tylko przejechać. Rumieniłem się zatem, z przerażeniem

zerkałem w prawo i powoli szykowałem się na najgorsze, bo wiedziałem, co mnie czeka z tamtej strony widnokregu. Zdradzieckie dźwięki w moich rękach zamilkły, nastąpiła cisza przed burzą, schematyczne wyciszenie przed efektowną reżyserską woltą z dantejskimi scenami walki, narodzin i śmierci, apokaliptycznymi jeźdźcami burzącymi stary porządek i pierdolnięciem decybeli podającym w wątpliwość pozornie nieograniczone możliwości akustyczne wszystkich multikin świata. A przecież chciałem tylko zaciągnąć się świeżym marskiem, ostatnim ze słowackich szlągów. Chciałem sobie tylko popatrzeć, co się święci. Wszystko przez te głupie zapalki. Wiadomo, eksport z Rosji. Czego innego można było się po nich spodziewać. Ruskie zakichane spiczki! A na import tego badziewia zgodziły się tylko dwa kraje naszego starego, mądrego kontynentu, jak wół na pudełku wytłuszczone: Słowacja i Bośnia. Dwa ledwo widoczne pacnięcia na mapie. Gdyby nie wojskowe zakłady kartograficzne, dałbym się nabrać, że to nieformalne parkingi dla aut kradzionych na ukraińskie i tureckie rynki bez dna. Mapa świata bezpardonowo je ignoruje, nie wysilając się nawet na pogrubioną, postawioną na ich cześć kropkę. Mapa Europy przeciwnie, informuje o ich obecności, ale ucieka się do strzałek i wciśniętych między pełnowymiarowe nazwy niewiele mówiących skrótów SVK i BiH. Terytorium symbolizuje maźnięcie granatowym pisakiem. Kleksowatość jednego goni drugie. Oba jednak bezobciachowo bronią się przed wymazaniem, a co więcej, uzurpują sobie prawo do miana serca Europy. Jakby serc można było mieć po kilka, jak żyć w grach komputerowych. Na przykład w *Mario Bros*. Ziom niby zupełnie niepozorny, ale rozpirzony w drobny mak wstaje i wieje dalej za swoim wyśnionym celem. Serducho mu nawala nieprzerwanie i za nic ma zasadę, że strata życia to zaprzeczenie nieśmiertelności. Bałwan! Chociaż może to jakaś alegoria. Jeden Mario raczy wiedzieć. Może dlatego tak dobrze przyjęto go w Budmericach, uznano go tutaj za swojaka, za gościa, który drąży skałę, nie bacząc na opór spetryfikowanego losu. Jak skwitowałby to jakiś mądrała od Europy Środkowej: trwa przy sobie, nie oglądając się na wojska, reżimy i ustroje panujące w okolicy. Te zmieniają się jak gacie niemowlaka, ale pagórki, zakręty leśnych ścieżyn, sygnaturki kościołów osamotnione na szczytach ostatniego wypiętrzenia tkwią w swojej niezmiennej pozie, unieruchomione zdziwieniem nieba. Coś jak te wsioki przed budmerickimi *potravinami*, co stoją tylko po to, by się nie ruszać, sączą bezkarnie browar za browarem i raz po raz niezrozumiale coś tam mrukną, o czym szumią wierzyby. Nowości przyjeżdżają z miasta kilka razy dziennie ichnim pekaesem, ale przecie miasta jak ognia, panie! To szatan wcielony, judasz obyczajów, gangrena zmian, zgnilizna światowych trendów, zgaga po kolorowych sprośnych magazynach i w ogóle! Trza unikać! Ale jak się dobrze przyjrzeć, za zbutwiałyymi firankami parterowych chat widać i te świerszczyki, i popcorny, i zajawione pyski wlepione w lśniące muskuty amerykańskich zapaśników wrestlingu, i podbrzusza oślinione bezwstydnie wywieszonymi językami syczących po niemiecku żmij i jaszczurek wkręconych w taśmy VHS, no i wiecznie młodziutkiego czarno-białego Mario, frywolnie zrzucającego z ekranu stojące mu na przeszkodzie muchomory i truskawki, łudzko podobne do tych hojnie rozsianych po okolicznych lasach. *Science fiction* i *fantasy* wrzucone do jednego gara z kipiącym samogonem, przegrzywane kapuchą i peklowanymi

ogórkami. Ale bimbrowy efekt skonsumowanej mieszanki nie zasiewa w miejscowych czachach większego spustoszenia niż śliwowica, borowiczka, importowana wódka czy okaleczony przez Unię um. Baniak tętni i żarzy się bólem, ale są sposoby, by go skutecznie ostudzić. Tylko jakby ci z telewizji pytali, to ani mru-mru. My tu skansen, słowacka cepelia, trafieni niedzielnym kazaniem, sianokosy i świniobicie, cykl pór roku, absolutna zwierzchność softysa, szlachetność ochotniczych strażaków, remiza jako dobro wspólne, darcie pierza w kolektywie, pieśni rozgrzewające do pracy itd. Nie to, co miastowi. Nie, nie, my tu inne ludzkie, panie! Tamtejsi to cwane bestie, skąpe i wyrachowane, skumane z Zachodem, Paryżem, Berlinem i innymi koczowiskami dekadencji. Tam już nie ma moralności, a nad zgnuśnią Bratysławą to ponoć niedyskretny zapach burżuazji się unosi, jak mówią ci, co byli i wrócili. A wracają nieliczni. Wsiąkają w ten gnój jak deszcz w snopy wysuszone sierpiem. A tam nierząd i rozpusta, rozkład i gnucie, kary i nierządnie. Słowem: a fe!

Ale Budmerice wiedzą. Wiedzą, że fikcja niesie ze sobą rozrywkę, że jest odlepiona, więc chociaż w światło kamery krzykną, że kultura karłowacieje, w cieniu cieszą się wielkim światem, amerykańskim filmem, bratysławskim *show businessem* jak tą rozgrzewającą tutejsze prehistoryczne dwukolorowe monitory grą *Mario Bros*. Polaryzacja światów jest tak jasna, że nikomu nie przyszłoby do głowy myśleć o zagrożeniu. Szkło ekranu chroni lepiej niż modlitwa przed niechcianą ciężką. Nawet jeśli i to jest tylko zasłyszane. Jakżeby inaczej: Budmerice wiedzą, gdzie sen, gdzie jawa.

A ja stałem mniej więcej na środku Topolowej i głupkowato lampiłem się przed siebie. Pod nogami strugi wiosennych odwilży wystawiały na próbę niczego nieświadome goreteksowe obuwie. Zauważyłem to dopiero po czasie, nietutejszy, zauroczony obrazem pozbawionym industrialnych atrybutów. Boże, jakże Autor tego obrazka mógł w tej chwili śmiać się ze mnie. Jeśli w ogóle mnie widział (choć wtedy w to nie wątpiłem). Zupełnie sfrajerzyłem się na widok tego napuchniętego poletka wypełnionego czymś nieokreślonym. Na górze było niebieskawo. Na dole brunatno i brązowo-żółto. Spód, który też ze mnie kpił, niemalże pękł w przeoranych szwach. Przerzucił swoją powierzchowność do góry nogami i, bawiąc się ze mną w ciuciubabkę, bezwstydnie pokazywał swoje ciemne podbrzusze. W międzyczasie strząśł z siebie niepotrzebne brudy. Oczyszczył skórę jakby za magicznym dotknięciem kosmetyków Avon. Śmieci leżały poniżej dolnej krawędzi, przede wszystkim w rowie.

Tymczasem między topolami pojawiło się trzech reprezentantów lokalnej diaspory cygańskiej, wybrane okazy wielkiej rodziny Romów. Dziewczynka patykami napędzała dopiero co wynalezione koło, obok dwa niezidentyfikowane osobniki płci zamazanej syberyjskim nawarstwieniem odzieży w znoju ciągnęły dziecięcy wózek. Z twarzy uciekły wszystkie wyrazy, tylko wysiłek nie zdołał się odczepić i bezwładnie zawisł w postaci szczęki tak wysuniętej, jakby i ona chciała się wyrwać, wygiąć na przód, szpizdać, gdzie pieprz rośnie bez oglądania się za siebie, bez myślenia i pamięci, by nie wymawiać imienia tego, czego było się częścią, a co nie mieści się w estetyce zbiorowego portretu ofiar Czarnobyla, wymyka się dostępnym formom opisu, a onomastyczną bezradność budzi nawet wśród niezłomnych

badaczy patologii ciała. Słowem, była tylko ta dolna szuflada z obijającym się o ścianki podniebienia szcztątkowym językiem, boleśnie poniewieranym w przyptywie oślinionej wylewności właściciela całego majdanu. Wezbranie i erupcja zwarto-wybuchowej energii miały miejsce akurat pod moją obecność. Zbliżali się do mnie, a ja patrzyłem i słuchałem, ale z trudem wierzyłem oczom i uszom. Spontanicznej próbie poinformowania współtowarzyszy o zmianie kierunku jazdy, tudzież ostrzeżeniu przed zbliżającym się wybojem, towarzyszyły dźwięki wielokrotnie spowolnionego, podwodnego basu Krzysztofa Krawczyka. Tak czy siak, niezbędny w takich sytuacjach kod znany był tylko dwóm istotom na ziemi i nie miałem wątpliwości, że w tym momencie mam jedyną i niepowtarzalną okazję podziwiać go na żywo. Obiekt cygańskiej troski piętrzył się tuż za grzbietami ciągnących wózek. Na czterech kółkach unosiła się sterta ciężkich szaroburych przedmiotów, których kompozycja zdawała się krzyczeć na pomoc przed niechybnym i hałaśliwym upadkiem. Nad każdym głębszym pęknięciem asfaltu nałożone na siebie warstwy blachy na moment grzmiały, po czym znów milkły, pozostawiając rezonujący w uszach efekt radiowej burzy. Czubek dwumetrowej góry kłopotów został okraszony rdzewiejącą anteną satelitarną, choć trzeba przyznać, że ciemnoczerwone plamy nic a nic nie ujmowały jej odstrzałowej krasie. Jak ruski radar, skupiona na mapowaniu nieba wysyłała sygnały w eter, by w okamgnieniu ponownie je odebrać, pełne drogocennych informacji o cygańskim raj, krainie absolutnej niepamięci, złotego bogactwa i niespętanej czasem zabawy. Sposób odczytywania tych wyśnionych wieści znany był tylko najmłodszym, ba, nienarodzonym jeszcze wróżbitkom, ale miałem nieodparte wrażenie, że biorą w nim udział umiłowane w tym czarno-białym gronie telewizory. Co prawda bez kineskopów, ale odpowiednio ciężkie, więc złomowo cenne. A może zakres funkcji satelity zostanie barbarzyńsko zawężony do roli pojemnej michy, która może wykarmić wszystkie małe naraz i, chociaż przepowiednia o długo wyczekiwanej ziemi obiecanej, prawdopodobnie wówczas zagłuszona chóralnym mlaskaniem przejdzie bez echa, przynajmniej dzięki tej satelitarnej akcji żywieniowej my, członkowie klubu ciekawych wszystkiego, będziemy mogli częściej pieścić nasze subtelne zmysły widokiem takich rarytasów jak choćby te trzy przebijające się przez mgłę endemity. Wtedy w centrum uwagi była tylko ta trójca, jedyna i prawdziwa rzecz widoczna. Jak tylko ją zoczyłem, drzewa zaczęły oblepiać się białą gęstą mazią. Może mydliły sobie oczy, żeby nie widzieć, co to za estetyczna kłapa rozgrywa się przed nimi, a może po prostu myły się przed jakimś ważnym wspólnym przedsięwzięciem albo wylewały mleko, albo po prostu zamykały oczy przed zabawą w chowanego, różne opcje przychodziły mi do głowy, ale w opcję z biedakami i wózkiem w roli głównej przyczyny zamglenia wolałem się nie wkręcać, bo oni ponoć czasem umieją tak walnąć w dynię, że pestki sinieją, a tego nikt przecież sobie nie życzy, tym bardziej ja – zapalony miłośnik warzyw. W związku z tym wątek istot pociągowych definitywnie uznałem za zamknięty. Krzyżyk i kropka.

W końcu postawiłem na teorię meteorologiczną, taką, która nikogo nie obraża i którą nie napytam sobie biedy, lecz ukoję sparalizowane nerwy. Chciałem jak najwinniej odbić krajobraz, skupiłem się i popadłem z zadumę, by płynąć, płynąć, płynąć. Mgłę przelałem na papier.